Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 11 (517). WARSZAWA, 16 marca 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O. „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY - ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8. za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

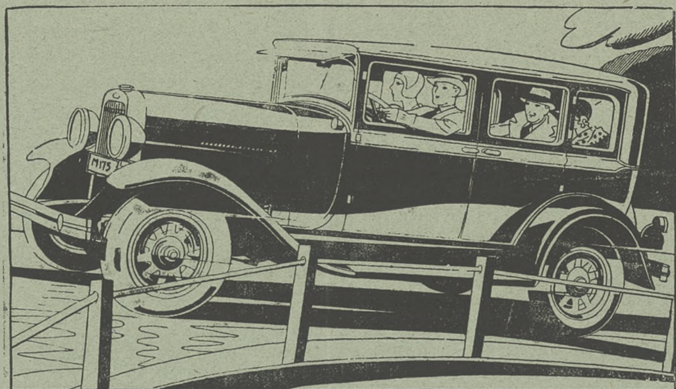
CENA OGŁOSZEŃ:

Za każdy milimetr 1-szpaltowy za tekstem 40 groszy; przed tekstem — 60 groszy. Na karcie tytułowej — 80 groszy. Cała strona ma 576 milimetrów.

W numerach ozdobnych: za tekstem 60 gr.; przed tekstem — 90 gr. Na karcie tytułowej i okładce — 1.20 zł. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Żal mi ptaka, co w niebo nie może ulecić,
Żal mi kwiatów, gdy słońce przestaje im świecić...
Żal kochanka, co się na całus nie odważa...
Żal myśliwego, co nie nabył „Kalendarza"!

Ptak wzleci w niebo potem podobłocznym lotem
i kwiaty mogą w słońcu uśmiechnąć się potem
i całus może jeszcze zdobyć amant głupi...
Lecz „Kalendarza" zbraknie – i nikt go nie kupi!



Najbardziej nowoczesny samochód

OSIĄGNIĘCIE idealnego połączenia wytwornego wyglądu z komfortem, szybkością i pewnością silnika oraz nadewszystko z umiarkowaną ceną jest niezwykle trudnem zadaniem, możliwem jednak do wykonania przy doświadczeniu i olbrzymich zasobach technicznych General Motors.

Nowy typ Oldsmobile posiada w wysokim stopniu te wszystkie zalety, dzięki 32 letnim próbom i doświadczeniom, uwieńczonym całkowitem powodzeniem przy zastosowaniu najbardziej współczesnych ulepszeń.

Składają się na nie: cichy chód wobec gumowej izolacji motoru i podwozia, brak wszelkich wstrząśnień, dzięki hydraulicznemu izolatorowi oraz nadzwyczaj czuła kierownica.

Całość odznacza się wytworną, wygodną, harmonijną karoserją, specjalnie nisko osadzoną, w celu zapewnienia bezpieczeństwa przy szybkiej jeździe.

Pozatem cena znacznie niższa, niż jakiegokolwiek innego samochodu tej klasy i wyglądu.

Przejażdżka próbna w porozumieniu z najbliższym zastępstwem General Motors potwierdzi to zdanie. *Wyrób General Motors.*

OLDSMOBILE

GENERAL MOTORS W POLSCE, WARSZAWA



Poręba pod śniegiem. Fot. L. Bieńkowski.

ZWIERZĘTA A STRASZAKI.

Dokończenie. (Zob. Nr. 10).

Podstawowe doświadczenia z psem i kotem stały się dla mnie drogowskazem do przeprowadzenia eksperymentów z innemi zwierzętami.

Jako młody adept sztuki łowieckiej, wyczytałem z abecadła myśliwskiego (Ernst von Dombroski „Das Jagd - ABC"), że sarny i jelenie bardzo źle widzą, za to dość dobrze słyszą, a przedewszystkiem idealnie wietrzą. Autor wskutek tego radzi, ażeby w podchodnem na tę zwierzynę zapamiętać tę kardynalną wskazówkę: nie tyle się kryć przed okiem, ile przed nosem; posuwać się wolno, jak kłoda bezwładna, ażeby każdej chwili móc zamrzeć na słup kamienny na wypadek, że coś się ukaże; reguła: „Man muss mehr birschen steh'n, als birschen geh'n". To, że sarny dobrze wietrzą, stało się dla mnie nieraz przykrą rzeczywistością; nie mogłem jednakże pogodzić się z drugą rzeczą, mianowicie, że mają źle widzieć; rogacz — szelma zoczył mnie przecież często na odległości, o których wcale nie śniłem. Trzeba więc było przyjrzeć mu się zbliska.

Na gołem polu, niedaleko lasu urządziłem w bliskości drzewa przynętę dla familji sarn. Przeróżne smakołyki, jak ziemniaki, marchew i buraki pastewne wnet zrobiły swoje: sarny przychodziły do tej jadłodajni prawie o każdej porze dnia, także wtenczas, kiedy słońce było jeszcze wysoko na niebie. I rozpoczęły się obserwacje z przeróżnych pozycyj: siedziałem na drzewie bez osłony, stałem oparty o drzewo, wreszcie przyglądałem się zwierzynie, stojąc, jak słup kamienny, obok drzewa. Mimo że nie byłem niczem kryty, sarny nie zwracały na mnie najmniejszej uwagi; zachodziły wypadki, że przy dobrym wietrze miałem sztukę tak blisko, że mogłem był ją ręką uchwycić. Jeden tylko warunek trzeba było po mistrzowsku spełnić, to jest, nie drgnąć przytem ani okiem w głowie, dlatego w krytycznych momentach wolałem powieki opuścić. Pytam: czy żyje gdzieś taki krótkowzroczny, który nie byłby w stanie w takich razach odróżnić człowieka od drzewa? Dlatego w stosunku do zwierząt w poprzednim moim artykule nie używałem wyrażenia „krótkowzroczność", zawsze tylko „słabowzroczność". Krótkowzroczny bowiem, im więcej się do przedmiotu zbliża, coraz lepiej go rozpoznaje, aż w końcu widzi go dobrze; słabowzroczny natomiast widzi zawsze równo źle, widzi tak, jak krótkowzroczny bez okularów, jak przez mgłę, nie rozpoznając szczegółów objektu.

Jeżeli więc rogacz już zdaleka spostrzega zbliżającego się myśliwego, to zauważył go li tylko dzięki ruchowi osoby, a nie skutkiem bystrości swego wzroku, a że potrafi odróżnić robotników leśnych i wieśniaków od strzelca, to i w tem nic dziwnego, bo kiedy ci pierwsi zbliżają się z hałasem, turkotem, ze śpiewem i śmiechem, to ostatni podchodzi jak widmo leśne.

Nie chcąc bez wyraźnej potrzeby elaboratu nadmiernie przedłużać, nie będę się rozwodził nad dalszemi próbami, stosowanemi przezemnie także do innych zwierząt, chociaż wszystkie uwypukliłyby tem wyraźniej słuszność twierdzenia, że zwierzęta o dobrem powonieniu są słabowzroczne. Człowiekowi, jako istocie rozróżniającej przedmioty swego otoczenia wyłącznie wzrokiem, trudno pogo-

dzić się z faktem, że w świecie żyją i takie istoty — a tych jest dużo, bardzo dużo — które, w przeciwieństwie do niego, mogą to uczynić tylko za pomocą powonienia, które, bez nosa, byłyby w tym samym stopniu nieszczęśliwe, jak człowiek bez oczu.

Po tych wywodach zwróćmy się teraz do tematu samego. Kto o tej fundamentalnej prawdzie, dotyczącej odmiennej organizacji zmysłów, przestanie powątpiewać, uwierzy, że na straszaki zasadniczo mogą reagować tylko zwierzęta węchowe, a temi są wszystkie czworonożne zwierzęta łowne naszych pól i lasów, z wyjątkiem żbika i rysia, — lampartów, jaguarów, lwów, tygrysów i małp nie posiadamy. Pan Świętorzecki twierdzi, że przyczyną tego respektowania flader jest „nie tyle ostrość wzroku, ile wrodzona podejrzliwość niektórych gatunków zwierzyny w związku z ich rozwojem zmysłowym". Pozwolę sobie zapytać, czem jest ta podejrzliwość? Czy nie jest to dyspozycja psychiczna, wywołana nieznajomością rzeczy?! Człowiek, przechodzący rzadko kiedy nocą przez las, spogląda podejrzliwie na wszystko, czegoby przy dobrem oświetleniu nigdy nie czynił. Przypuśćmy, że bujna fantazja takiego przygodnego, nocnego wędrowca nada starej, spróchniałej wierzbie groźną postać zbójcy, że w dodatku przypadek zrządził, że wierzba podcięta w tej samej chwili się zakołysze i obali, to Bogu ducha winny poczciwiec, znacząc się głośno krzyżem zbawienia, z drogi zawróci. (Fakt autentyczny). Czy w wypadku tym podejrzliwość była przyczyną ucieczki? O, nie! Pierwotną i istotną przyczyną była nieznajomość rzeczy, spowodowana niesprzyjającymi warunkami wzrokowymi, z czego dopiero później, jako zjawisko wtórne, zrodziła się podejrzliwość.

Ale p. Świętorzecki mówi o podejrzliwości wrodzonej, a więc o predyspozycji tego stanu psychicznego. Niech mi będzie wolno i w tym wypadku posłużyć się przykładem. U psów naszych możemy zaobserwować jedną ciekawą właściwość, mianowicie: pies, kładąc się na kobiercu, czy na kanapie albo fotelu, obraca się regularnie kilka razy w kółko. Własność tę posiadali jego ojcowie, dziadkowie, pradziadkowie, prapradziadkowie..., jednem słowem, właściwość ta jest psu wrodzona. Wiemy, że psy niezawsze wylegiwały się po kanapach i fotelach, że het przed wiekami musiały zadowolić się ubogiem i skromnem legowiskiem w twardych i szorstkich trawach dzikiego stepu. Chcąc mieć legowisko miękkie i wygodne, trzeba było za każdym razem trawę dobrze udeptać. Sposób ten psy praktykowały do chwili, kiedy człowiek zamienił ich twarde legowisko na miękki i wygodny fotelik. I chociaż dzisiaj na kanapach naszych naogół nie rośnie trawa, to psy nadal spełniają swoją pierwotną funkcję, czyli że dawny zwyczaj stał się ich naturą, stał się wrodzony. Czy dlatego obracanie się psa na kanapie jest już cechą istotną tego zwierzęcia? Chyba każdy rozumie, że cecha ta, chociaż przechodzi z pokolenia na pokolenie, jest tylko cechą nabytą. Tak też ma się rzecz z podejrzliwością wrodzoną zwierząt, reagujących na straszaki: odziedziczyły ją wprawdzie, ale nie jako cechę istotną, tylko nabytą skutkiem słabowzroczności ich rodu.

Potwierdza to również płoszenie i rozbieganie się koni, zwierząt o charakterze na wskroś cichym i łagodnym. Chcąc właściwość tę, która może niejednemu z nas sprawiła już dużo nieprzyjemności w życiu, wytłumaczyć, trzeba zajrzeć do historji rodu końskiego. Otóż koń, chociaż wielki i silny, żyjąc pierwotnie na stepach dalekich, był stale narażony na niebezpieczeństwa ze strony groźnych i zuchwałych drapieżców, które nieustannie czyhały na życie jego. Powonieniem, swoim zmysłem przewodnim, nie zawsze mógł dostrzec zbliżającego się nieprzyjaciela, a ponieważ sposób polowania jaguarów, lwów i tygrysów — tych wielkich kotów — wyróżnia się podstępem, każdy szmer, każdy ruch musiał wzbudzać w koniu zrozumiałą podejrzliwość. I kiedy tylko groziło niebezpieczeństwo — mógł się w tem często mylić — robił użytek z broni ochronnej, jaką mu dała przezorna matka przyroda w postaci silnych i wytrwałych nóg, ratował się ucieczką. Zwyczaj, celowy i rozsądny, stał się jego naturą, przechodził na potomstwo i zachował się do dnia dzisiejszego. Przyczyna tej dziedzicznej wady — o ile ją tak nazwać zechcemy — tylko pozornie spoczywa w podejrzliwości wrodzonej, jest nią istotnie nierozpoznawanie przedmiotów wskutek słabowzroczności zwierzęcia.

Stopnia rozwoju umysłowego czyli inteligencji zwierząt z powodu reagowania na straszaki w większej lub w mniejszej mierze również osądzać nie można, bo wyrządzilibyśmy krzywdę zwierzęciu, krzywdę zniesławienia, w dodatku całkiem niesłuszną. Wyobraźmy sobie jegomościa pana X na rojnej sali balowej, któremu zawiązano oczy i kazano szukać własnej żony: Dobrodziej szuka, sili się, aż mu pot występuje na czoło, nie znajduje jej, za to otrzymuje od auditorjum, zgromadzonego na sali, stopień „niedostateczny" z inteligencji. Po chwili wprowadzono „Lorda" tych państwa, również z zawiązanemi oczyma: na rozkaz męża „Lord, szukaj pani" pies po małej chwili staje u celu, kwituje rozwiązanie zadania radosnem szczekaniem i za to uzyskuje notę z inteligencji... „celujący". Inny przykład: profesor uniwersytetu, dr. Y obciążony wrodzoną krótkowzrocznością, zgubił okulary swoje w chwili, kiedy zachodzi potrzeba pisania i czytania i... nie potrafi — stał się „analfabetą". Tem samem prawem nie można np. rysia uważać za inteligentniejszego od lisa, jeżeli pierwszy zlekceważył fladry, a drugi je respektuje. Pozatem to, co w zachowaniu się stare wilki różni od młodych, bynajmniej nie jest różnicą w rozwoju umysłowym, tylko prostem doświadczeniem, a przecież najinteligetniejszy popełniać będzie błędy, jeżeli inteligencja jego nie będzie się łączyła z doświadczeniem.

Przechodzę w końcu do kwestji różnego zachowania się zwierzyny wobec straszaków, tak rodzaju całego, jak gatunku, lub pojedyńczych osobników, również w stosunku co do czasu i miejsca. Postępując za wypadkami, jakie p. Świętorzecki ze swej własnej i cudzej praktyki przytacza, dostajemy się w taki labirynt dróg i ścieżek, że ogarnia nas w końcu rozpacz święta. Obrazy zilustrowane nietylko że zmieniają kształt swój i barwę, ale postępują po sobie jak w kalejdoskopie. I nic dziwnego, że Szanowny Autor w tem zaczarowanem kole zgubił drogę, pobłądził i... nie doszedł do upragnionego celu.

Ażeby przeżyć widok przedmiotu, nie wystarcza, żebyśmy mieli dane poszczególne wrażenia, z których on jest zbudowany, i żeby między niemi zachodziły potrzebne stosunki. Zdarza się bowiem, że wrażenia potrzebne odbieramy i stosunki wymagane pomiędzy niemi zachodzą, a my mimo to nie jesteśmy w stanie powiedzieć, że oto przeżywamy widok pewnego określonego przedmiotu. Łatwo można stworzyć taki chaos kresek na papierze, że nikt nie potrafi w nim dojrzeć konturów żadnego przedmiotu, mimo że one będą w tym chaosie dane, przynajmniej dostępne dla oka naszego. W tak zwanych obrazkach wieloznacznych mamy ukryte wizerunki najrozmaitszych figur, które dopiero odkryć musimy w obrazie, idąc za wskazówkami, jakie nam daje podpis. I mamy na pozór wielką tajemnicę przed sobą. Dopiero po chwili, po różnych nieudanych próbach, udaje się nam zauważyć wskazany układ swoisty i dojrzeć w nim oznaczony przedmiot. Figle tego rodzaju były oddawna znane w kącikach humorystycznych czasopism dla młodzieży, — w ostatnich latach spotyka się je również na wystawach obrazów. Figiel taki nie uda się

i ukryty w chaosie układ swoisty rzuci się odrazu w oczy, jeżeli jego fundamenty odróżnimy od całego otoczenia, np. czerwonym kolorem wyosobnimy je, usuwając wogóle otoczenie, albo w chaotycznem, niezmienionem polu będziemy raz pochwycony układ poruszali jako całość.

Przestawmy w obrazie „reagowanie zwierząt na fladry" przyczynę i skutek, zmieszajmy cechy istotne z przypadkowemi, rozrzućmy w dodatku między to wszystko, momenty sprzyjające i niekorzystne — a stworzymy „obraz wieloznaczny", którego nikt w świecie odgadnąć nie potrafi.

Uwzględniając właściwość organizacji zmysłów zwierzyny, na którą odbywa się polowanie, zrozumiemy, że skutek polowania z fladrami nie będzie, nie może być zawsze równy. Ponieważ fladry stosujemy na zwierzęta słabowzroczne, to wynika z tego, że chorągiewki muszą się przedewszystkiem ruszać i ostro odznaczać od otoczenia, a ponadto zwierzę musi mieć możność spostrzeżenia straszaków zawczasu. Zróbmy teraz takie zestawienie: jeden urządza polowanie w dzień, kiedy ani listek nie drgnie na drzewie — drugi poluje przy słabym wietrze, jeden próbuje szczęścia już wczesną jesienią, — drugi robi to zimą, na śniegu, jeden aranżuje polowanie wśród gęstej mgły albo w czasie, kiedy śnieg sypie wielkimi płatkami, — drugi przy aurze pogodnej i słonecznej, jeden wybrał się do kniei pełnej podszycia — drugi poluje w lesie przejrzystym, jednych naganka zachowuje się jak stado dzikich i opętanych — drugich posuwa się tajemniczo, uderzając raz po raz o drzewo, jednych fladry do miejsca rozwieszenia wieziono wśród największego mrozu—drugich dla przepojenia ludzkim odwiatrem służba musiała nieść na plecach, jeden po rozwieszeniu flader z powodu spóźnienia się niektórych gości czeka z rozpoczęciem polowania do dnia następnego — drugi w wypadkach takich nie zna kurtuazji, rozpoczyna natychmiast. Jeżeli w wymienionych wypadkach ta sama zwierzyna odmiennie się zachowa — przypuszczalnie u jednych zignoruje fladry, u drugich je zrespektuje, to czy przyczyny takiego odmiennego postępowania trzeba w zwierzynie szukać?! Chyba każdy nieuprzedzony przyzna, że w takim razie wysnulibyśmy mylny wniosek. Budując zaś na błędnych przesłankach, musimy rychlej czy później dostać się w labirynt, w koło błędne, z którego niema już wyjścia.

Wymieniliśmy dopiero okoliczności, łączące się z istotą rzeczy; prócz tych zasadniczych momentów jednak może wpłynąć także wiele okoliczności przypadkowych, jak: doświadczenie, gwałtowne przestraszenie, stan zdrowotny, ból, siła i bitność danego osobnika; mianowicie: częste stosowanie flader ułatwi oswojenie się z niemi; nagły i gwałtowny lęk nie pozwoli działać normalnie; chora sztuka stanie się apatyczną na wszystko; ból, spowodowany postrzałem, zahamuje funkcje psychiczne; siła i bitność, jak u żubra-byka albo dzika-odyńca, pozwolą niebezpieczeństwo pokonać.

Ze wszystkich tych danych można utworzyć tyle warjacyj i kombinacyj, że nieinteresowanemu trudno będzie stwierdzić, co przy użyciu straszaków w danym wypadku spowodowało skutek ujemny.



Z polowań nad Czeremoszem.

Przyznaję, że ryś w niektórych wypadkach również zareaguje na fladry, zwłaszcza wtedy, kiedy stosuje się na niego łapki; obawia się sznurów, bo dopatruje się w nich prawdopodobnie sideł niebezpiecznych. Przypadkowe to respektowanie straszaków nie jest jednakże jego właściwością, tak jak nie jest własnością wszystkich innych przedstawicieli rodziny kotów, nie może dlatego obalić tezy, że właściwość reagowania na fladry powstała u zwierząt węchowych skutkiem ich słabowzroczności.

Poglądów swoich nikomu narzucać nie myślę, niechaj każdy żyje i praktykuje według własnego przekonania, według własnej wiary. Jednego tylko pragnę: pobudzić do myślenia, czy ta lub inna wiara nie prowadzi przypadkiem w otchłań, zamiast do światłości.

JÓZEF MIEDZIŃSKI.

Rawicz.



DOSTOSOWANIE TERENÓW ŁOWIECKICH DO POTRZEB RACJONALNEJ HODOWLI ZWIERZYNY.

Wyjątkowa zima tegoroczna jest niewątpliwie klęską, jakiej doznało nasze łowiectwo, o czem świadczą wiadomości nadchodzące ze wszystkich stron Polski. A jednak rozmiary tej klęski dałoby się w dużej mierze zredukować, gdybyśby byli więcej przewidujący i gospodarkę łowiecką prowadzili racjonalnie z uwzględnieniem wszelkich możliwych ewentualności. Złym gospodarzem jest ten, kto liczy tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności, zaniedbując wszystkiego, co go może od strat zabezpieczyć.

Mówi się obecnie u nas o tem wiele, że przyczyną klęski są mrozy, których ofiarą padała zwierzyna masowo. Milczeniem natomiast zbywa się, że zwierzyna ginęła masowo przedewszystkiem z głodu, o czem świadczą najlepiej sekcje zwierzyny padłej, przeprowadzane w Instytucie Łowiectwa w Warszawie. Serce się poprostu ściskało, gdy przy sekcjach padłych zajęcy, wynędzniałych do ostatnich granic, nie znajdowano we wnętrznościach odrobiny pożywienia, a że właścicielom zwierzyny na myśl nie przychodziło, by powodem śmierci mógł być li tylko głód, za dowód służy to, iż polecano Instytutowi skrupulatnie badać i szukać chorób epidemicznych, jako jedynej przyczyny masowego padania zwierzyny.

Przypadek zdarzył, że będąc w redakcji „Łowca Polskiego", miałem możność oglądania nadesłanej przez kogoś z myśliwych jako curiosum zmarzniętej na śmierć sowy i gawrona, w którego sowa wpiła się szponami, mając dziób utkwiony w mózgu gawrona. Ogólnie przypisywano to wyłącznie skutkom mrozu, ja zaś przypisuję to przedewszystkiem skutkom głodu, gdzie mróz dokończył już tylko to, co głód spowodował. Z pozycji sowy siedzącej na gawronie z dziobem utkwionym w mózgu, widoczne było, że sowa szukała w ostatniej chwili ratunku od śmierci w pożywieniu, które znalazła, ale już było zapóźno, bo resztki sił ją zbyt wcześnie opuściły, gdyż zabrakło tego życiodajnego, wewnętrznego cieplika, jakie wytwarza trawienie pokarmu i prawidłowa cyrkulacja krwi w organizmie. Nie ulega wątpliwości, że i gawron padł przedewszystkiem z głodu, a nie był zabity przez sowę, która absolutnie nie mogła mieć dostatecznych sił na stoczenie uprzedniej walki o byt z gawronem. A zatem i tutaj mamy typowy przykład śmierci głodowej, której z pomocą przyszedł tylko mróz, skracając męczarnie.

Obok głodu drugim czynnikiem przyśpieszającym śmierć podczas ostrych zim, są choroby, które wycieńczają organizm zwierzęcia i czynią go więcej wrażliwym na skutki mrozu. Patrząc na to z punktu widzenia polepszenia zdrowotności zwierzostanów, poczytuje się to ogólnie za stronę dodatnią. Ja powiedziałbym, że faktu tego nie należy przeceniać, bo jeżeli chodzi specjalnie o choroby epidemiczne, to zapatrywanie takie jest słuszne, ale przecież nie wszystko, co jest chore, pada na choroby epidemiczne. Istnieje wiele bardzo chorób wywołujących, jak każda inna, osłabienie organizmu, czasami nawet bardzo znaczne, a które mają charakter przejściowy i po których następuje całkowite wyzdrowienie. Niestety, zwierzyna dotknięta i tą kategorją chorób, pada skutkiem głodu i mrozów narówni z dotkniętą chorobami epidemicznemi, bo nie ma dość sił do utrzymania się w ciągłym ruchu, wyszukiwania samej sobie pożywienia i zagrzewania się. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że większość chorób po za chorobami epidemicznemi jest wywołana na tle zaburzeń w organach trawienia, to jasnem się staje, że w tym wypadku nietylko pożywienie samo, ale i jakość pożywienia odgrywa ogromną rolę.

Myli się bardzo poważnie ten, kto sądzi, że zimowe dokarmianie zwierzyny jest wystarczające, by uodpornić ją na skutki mrozów. Przedewszystkiem stwierdzić należy, że najskuteczniejszym środkiem zabezpieczającym od wrażliwości na zimno każde absolutnie stworzenie, jest warstwa tłuszczu izolująca cały system nerwowy. W zależności od pory roku zdolność osadzania się tłuszczu jest rozmaita, najmniejsza zaś w zimie, kiedy organizm musi wytwarzać znaczne ilości cieplika i kiedy zamiast tłuszcz osadzać, korzysta raczej z zapasów nagromadzonych na jesieni. Chcąc zatem zwierzynę uodpornić na wpływ zimy, dbać musimy o należyty pokarm dla niej nietylko w zimie, ale cały rok i szczególniej na jesieni, dając w tym czasie takie pokarmy, które szczególnie sprzyjają osadzaniu się tłuszczu, bez wprowadzania zaburzeń w organach trawienia.

Równolegle do zabezpieczenia zwierzynie odpowiedniego pokarmu we wszystkich porach roku, dbać też powinniśmy o odpowiednie urządzenie łowisk, umożliwiające zwierzynie chronienie się przed słotami, zawiejami i mroźnymi wiatrami, które narówni z brakiem pożywienia bardzo ujemnie na jej zdrowie wpływają.

Wobec zbliżającej się wiosny, która daje możność każdemu z właścicieli łowisk uniknięcia na przyszłość dotychczasowych błędów, postaram się w następnych artykułach streścić zasady urządzenia łowisk oraz karmienia zwierzyny, z uwzględnieniem własności odżywczych i djetetycznych poszczególnych roślin i pasz treściwych, które to dwa problemy składają się na całość zagadnienia, jakiem jest dostosowanie terenów łowieckich do potrzeb racjonalnej hodowli zwierzyny.

STANISŁAW KAMOCKI
Dyrektor Instytutu Łowiectwa.

RATOWANIE ZWIERZYNY.

Jako delegat powiatu wolsztyńskiego, wysłałem odezwę „Pamiętajcie o zwierzynie!" do sąsiedzkich łowisk. Na tę odezwę odebrałem tu załączony elaborat od p. hr. Świnarskiej z Obry, którego kopję załączam, gdyż uważam, że jest godny podania do wiadomości naszego łowiectwa.

Cześć Myśliwym!
ZYGMUNT Z BYTYNIA KURNATOWSKI.

Obra, dnia 16.II. 1929 r.

Najłaskawszy Hrabio!

Otrzymałam odezwę o żywieniu zwierzyny. Ten rok potwierdził moje dawniejsze spostrzeżenia. Zwierzyna ginie z braku wody, sarny, jelenie odgrzebują rowy aż do lodu i liżą lód. Sarny klęczące na lodzie w tej pozycji, znaleziono martwe, ale to sarny sąsiada które z pragnienia do granicznego rowu przyszły pić.

Najlepiej swoje obserwacje mogłam przeprowadzić na jeleniach. Przed leśniczówką jest plac; stoją tam stogi; rozłożyłam kasztany na odmiecionej drodze. Nie wierząc opowiadaniom swoich bab, pojechałam w styczniu osobiście przenocować w leśniczówce i tam z I piętra patrzałam, co się dzieje. W garnku miałam gorącą wodę i co chwilę szyby w oknach ręcznikiem gorącym odtajałam, aby móc przez lornetę do najdalszego punktu obserwować. W pokoju dopalili mi na 19 stopni C.; temperaturę miałam miłą; utrzymując ją do rana dokładaniem węgli. Kurzyło się z komina jak z kuźni; pomimo to już o godz. 4-tej zwierzyna zaczęła się schodzić. Szczekanie Murka na łańcuchu przy stajni, zupełnie wrażenia na jelenie nie robiło; od chałupy 30 kroków usypałem ścieżkę 40 kroków długą, z kasztanów. Najpierw obstąpiły stogi z sianem, tłocząc się, jak ludzie na odpuście; rogate zachowywały się nie po kawalersku; biły w lewo i prawo; łanie szczypały sąsiadki; kładąc uszy po sobie, a szczypały nie na żarty, bo pęki sierści wygryzały z grzbietu słabszej. Cielęta najbiedniejsze, te, którym matki odbito, stały osowiałe; chód krępowany; brzuchy wciągnięte. Cielaki, które miały silne matki, stojące przy stogach, pod brzuchami matek wtłaczały się i klęcząc, ze stoga siano jadły. Wszystkich było 41 i miały ciasno. Nazajutrz rano chodziłam po tym placu. Uderzyły mię odchody jeleni, po odtajeniu twarde, jak kamyki i sypiące się; pasza sucha w nich niestrawiona; wrzosy tak, jak zjedzone, odchodziły; mocz na śniegu znać dobrze, kolor brunatno-czerwony i bardzo mało; ależ to najwyraźniejszy brak wilgoci w paszy i brak wody. Na szczęście tego roku targi były przepełnione kapustą, więc jej nie sprzedałam, a główki zachowałam w kopcach, jak kartofle.

Nazajutrz kazałam nawieść tej kapusty do leśniczówki, złożyć w klatę w stajni, aby nie zmarzła. Po południu jedną kopę główek kazałam poćwiartować i w miejsce kasztanów rozłożyć, ale ścieżkę sypać jaknajdłuższą, na 60 metrów, aby wszystkie się zmieściły. Gęsiego truchtem ze wszystkich stron schodziły się i zjadały. Całe 7 dni codzień po południu daję kapustę. Znów pojechałam obserwować o 6-ej zrana; o ile mogłam doliczyć, stało ich 60. Widocznie zapach kapusty sprowadził z całej Brandenburgji jelenie pod leśniczówkę. Po tygodniu karmienia kapustą poćwiartowaną — oglądałam z placu zebrane odchody; były znacznie zdrowsze i wilgotniejsze, i moczu więcej, i jaśniejszy.

Dając kapustę, dajemy witaminy, białko i 90 proc wody, której im tak braknie. Bez warzywa, czyli wody, nie mogą strawić suchej paszy. One śniegu nie jedzą i nie liżą, ale gdzie tylko pojnik, tam odgrzebują do lodu i liżą go. Wszędzie w pojnikach odgrzebanych dołki w lodzie są wylizane. Karmię dalej, przy suchej paszy, marchew i kartofle, ale *krajane;* wywożę późno około 3 — 4 po południu; sypią na drogach ścieżki i nakrywają słomą, to nie zmarznie na kamień przez 2 godziny, a zwierzyna formalnie czeka; gdy wozy odjadą, one już są i z pod słomy wybierają. Im więcej kapusty spasam, tem chętniej i więcej siana zjadają, i całe zachowanie cieląt jest weselsze i zdrowsze. Skąd te wszystkie jelenie przychodzą, Bogu wiadomo; niektóre muszą zdaleka, bo chód ich inny; jak konie podbite, stąpają sztywno i bijatyką nasze rozpędzają. Obce byki mocne walczą nie na żarty. 14-tak strącił 10-takowi róg; biły się w zagaju tuż przy placu. Na polu walki pełno sierści i róg jeden strącony: mam go. Jeleń skaleczony trochę farbował, co nie przeszkadza, że przychodzi; jest o jednym rogu i bardzo niespokojny; ogląda się na zagaj, śpieszy się najeść i wraca ku lasom rządowym.

Po tem, co z praktyki przechodzę, nie mogę się godzić, aby zupełnie nie paść warzywa; zapieczenie wywołuje brak apetytu, febrę, zapalenie kiszek, nerek i śmierć. Paść okopowe rozdrobnione, *rozwozić co dzień przed samym wieczorem i okopywać:* ta sama słoma może być do okrycia użyta, a co do kapusty wprost idealna pasza w takich warunkach, i najtańsze co wyprodukować możemy.

Na mordze naszej sprzątamy 5.000 główek, na 1 metrze kw. dwie; gdy nieurodzaj, to główka zawsze waży 2 — 3 funtów, a sprzątam już główki po 16 funtów i więcej.

Pasza sucha, którą dajemy zwierzynie, na nic się nie przyda, jeżeli jej nie jest w możności strawić. Dlaczego zwierzyna tak łakomo teraz obgryza niedojrzałe pędy wierzbiny, choć zmarznięte kompletnie? Bo potrzebuje soków wody.

Przesyłam Hrabiemu te kilka słów, jako stara praktykantka, która uczy się ciągle, i jeżeli moje doświadczenia okażą się u Hrabiego w łowisku praktycznemi dumna będę, że mogłam się przysłużyć.

Serdeczne wyrazy szacunku i pozdrowienia
J. SWINARSKA

Dodatek. — Sarny w lesie moim uważam za stracone; jelenie ich do paszy nie dopuszczają, i sarna w tych warunkach — oprócz paszy, potrzebuje gąszczy; one poprostu giną z mrozu, nie są tak odporne, jak jelenie, i niezahartowane u nas wcale. Wy Panowie, co macie głos w tych sprawach, wyproście u p. ministra, aby każdy dzierżawca łowiska miał obowiązek żywić zimą zwierzynę i to pod dozorem policji. Mamy chłopów, oberżystów, kowali, którzy dzierżawią łowiska; czy z tych ludzi choć jeden da zimą za grosz zwierzynie? *Nie!*

Dla kuropatw prosze osobno poszatkować główke kapusty i włożyć w budkę obok ziarna.

SWINARSKA.



JAMNIK I FOXTERRIER.

Dokończenie. (Zob. Nr. 10).

Foxterrier na nieco wyższych od jamnika nogach włazi do nory w tenże sam identyczny sposób, co i lis i znacznie łatwiej, a prędzej w ciemnej norze naprzód posuwać się może, aniżeli jamnik. Przekonać się o tem dobrze zresztą możemy przy norach płaskich, a niskich, w których foxterrier swemi wyższemi nogami również dobrze i prędko kopie, jak jamnik i lis. W czasie tej pracy dopomaga mu też znaczna sprężystość i siła nóg jego, gdyż kopię nietylko pod sobą, lecz w razie potrzeby wykręca się przy tem nawet na boki i na grzbiet. Swymi silnymi zębami rozgryza grubsze korzenie, lub cieńsze rozrywa mocnym swoim karkiem, gdy na zawadzie w norze mu staną. Gdy wreszcie dopadnie w norze jakiego drapieżnika, zębami go pochwyci i następnie na swych mocnych nogach wyprostuje się nieco, wtedy pochwycony drapieżnik nie może już wyrwać mu się tak łatwo, długie bowiem nogi psa wpierają się tak mocno w grunt, że nawet borsukowi nie udaje się poruszyć go z miejsca, a zdarzają słę niekiedy wypadki, zwłaszcza gdy nora nie jest za głęboka, że pies nawet borsuka tyłem z nory wyciąga.

Próby konkursowe, dokonywane w sztucznych norach, dowiodły również, że foxterriery pod względem swej zaciętości przewyższają znacznie jamniki.

Na ziemi znowu, postrzelony drapieżnik nie uchodzi tak łatwo przed foxterrierem, gdyż zwinny i szybki ten piesek kilkoma susami wnet go dopada i dusi. Zimą w czasie głębokiego śniegu, lub w trzęsawiskach, dopomagają foxterrierowi znakomicie te właśnie wyższe jego nogi, nie męczy się bowiem wtedy tak prędko, jak jamnik, który swój wydłużony korpus wlecze po śniegu lub błocie, wobec czego brać go niekiedy trzeba nawet do plecaka. A więc jak widzimy, te wyższe nieco nogi foxterriera w niczem mu nie przeszkadzają, a naodwrót — tylko dopomagają, tak w norach, jak też na ziemi, gdyż z ich właśnie pomocą może rozwinąć znacznie więcej siły, zwłaszcza w czasie duszenia drapieżników, jak również swą zwinność oraz szybkość, w czem również znacznie przewyższa swego koleżkę — jamnika.

Pozatem jest to pies bardzo inteligentny i pojętny, a dlatego daje się łatwiej tresować i do posłuszeństwa przyuczyć. Ponieważ psiaki te są względnie nawet karne, nie znoszą więc zbyt surowego z nimi postępowania, zwłaszcza podczas tresury, w czasie której dobrocią i cierpliwością wiele się daje osiągnąć w ciągu kilku zaledwie lekcyj.

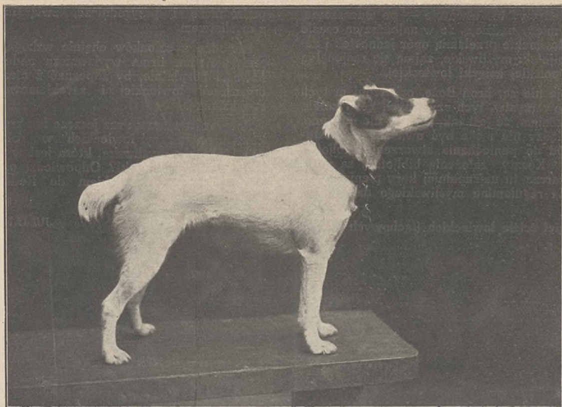
Co do wieku, w jakim właściwie należy brać foxterriera do pracy w czasie kopania i wypłaszania drapieżników, to przekonałem się, że wcześniej nadaje się do tego foxterrier, aniżeli jamnik. Do rzadkości wcale też nie należy, gdy półroczny zaledwie foxterrier tak już lisy stanowi, że kopać je można, lub że do opuszczenia nor zmusza. Uczy się tego bardzo łatwo, a gdy pochodzi z rzeczywiście dobrego i rasowego gniazda, wtedy zazwyczaj kilka lekcyj wystarcza, by go tego nauczyć. Gdy przyjrzy się robocie psa starszego, jak tenże do nor wjeżdża, i gdy wspólnie z nim drapieżnika dusi, wtedy szybko pojmuje, o co tu chodzi.

Uwaga: W czasie układania foxterrierow postępujemy z nimi zupełnie tak samo, jak z jamnikami, co już poprzednio, a szczegółowo było opisane. Na jedno jednak chciałbym tu zwrócić uwagę. Otóż w czasie zaprawiania foxterriera (i jamnika) do jego rzeczywistej roboty, bywa zbyt często popełniany pewien kardynalny błąd, że doprowadzają go niektórzy w samych początkach tej nauki do drapieżników, znajdujących się **na powierzchni ziemi, a nie w norze.** Tego rodzaju taktyką tłumimy w pewnym stopniu wrodzone skłonności psa, ułatwiając mu zupełnie niepotrzebnie spotkanie się z drapieżnikiem, którego powinien właściwie najpierw w sztucznej norze wyszukać, a następnie dopiero do ataku przystąpić. Gdy bowiem, w czasie tej początkowej praktyki, dopuścimy do stoczenia zajadłego boju na powierzchni ziemi z tak poważnym przeciwnikiem, jak z lisem, lub borsukiem, co rzecz prosta, bez zaciekłej z obydwu stron walki nigdy się nie obywa, wtedy foxterrier (ani jamnik) nie znajdzie żadnej już przyjemności w podobnej, a tak ciężkiej pracy, gdy mu tę samą pod ziemią, w kompletnej już ciemności spełniać następnie przyjdzie. A więc w początkach jego praktyki pozwólmy mu pracować wpierw nosem po śladach (tropach) i dopiero po trochu nakłaniajmy go, za pomocą szczucia, do wjechania do nory. Jeśli jest cięty i wart naszych trudów, wnet poczuje węchem obecność drapieżnika w norze i stopniowo nabierze dostatecznej odwagi do wjeżdżania do nory i atakowania w niej każdego drapieżnika, tam napotkanego. Znałem kilka foxterrierow, które dla celów myśliwskich kompletnie były popsute, nauczono je bowiem dusić drapieżniki, zanim wywęszyły je nosem. **Pierwsza nawet mysz, a następnie szczur, w początkach do nauki użyte, winny być przez szczenię węchem wytropione, a następnie dopiero zduszone.** Prawdopodobnie istnieje coś takiego, a specjalnego w zapachu zwierzyny i drapieżników, co odwagę i działalność psa do najwyższego stopnia pobudza. Wiatr foxterriera jest bardzo subtelny, gdy więc nauczył się pracować nosem, wtedy nie będzie wpadał do każdej ujrzanej nory, jak wściekły, a tylko wpierw przekona się węchem, czy jest obsadzona.

Foxterrier bywa używany nietylko do polowań podziemnych, lecz niekiedy i do polowań na ziemi, a mianowicie do tropienia i wypłaszania kun, tchórzów, zdziczałych i dzikich kotów, oraz wyder. To też w Anglji nie egzystuje prawie żadna psiarnia terrierów, używanych specjalnie do polowań na wydry, by tejże, w czasie tych polowań, przynajmniej jeden foxterrier nie towarzyszył.

Jaką też wartość przedstawia foxterrier dla myśliwego w tępieniu szkodników, już niejednokrotnie opisywały różne czasopisma łowieckie, a jeden z niemieckich nadleśniczych w opisie swym wzmiankuje, że wedle jego zapatrywań, stwierdzonych długoletnią praktyką, para dobrych foxterrierow znacznie więcej usług w tępieniu wszelakich szkodników oddaje, aniżeli najlepszy wyżeł z jamnikiem.

Z przyczyny jego zmyślności, pojętności, pasji i dobrego węchu, można go również używać do tropienia na ziemi, a nawet trafiają się niekiedy foxterriery, oddające wcale niezłe usługi w czasie polowania na kuropatwy i kaczki, aportując i sprawiając się nie gorzej od wyżła. W czasie polowań na króliki, zwłaszcza w gęstych kulturach, oddają te pieski również znakomite usługi, będąc bowiem małego wzrostu, mogą z łatwością dokładnie i szybko przeszukać każdy najgęściejszy nawet zakątek. W tym też wypadku ich maść jasna ma również pewne dodatnie strony, rozpoznajemy je bowiem już zdaleka i nie tak łatwo postrzelić je możemy. Gdy nauczymy foxterriera aportowania, czego nauczyć go się powinno, gdyż umiejętności tej uczy się łatwo i chętnie, wtedy aportuje postrzelone króliki, jak również wyciąga zaduszone drapieżniki z nor, jeśli ich struktura na to pozwala; tam znowu, gdzie temu podołać nie może, sygnalizuje swym szczekiem zaduszoną sztukę, którą odkopać możemy.



Fot. H. Knothe.

Nie mam absolutnie najmniejszego zamiaru przedstawiać foxterriera jako psa uniwersalnego do wszelkich możliwych posług myśliwskich, lecz że piesek ten nietylko do polowań podziemnych na lisy i borsuki ze znakomitym skutkiem bywa używany, temu nikt zaprzeczyć nie może, a dlatego powinni nasi myśliwi nabrać do tych piesków więcej przekonania, gdyż ze wszechmiar na to zasługują.

Foxterrier jest nietylko znakomitym psem do polowania, lecz również i miłym towarzyszem w czasie spacerów, konnej jazdy i przejażdżek pojazdem. Jest psem nadzwyczaj czujnym i mógłbym przytoczyć sporo przykładów, gdzie jako stróż domu, nietylko znakomite oddaje przysługi, strzegąc mienia i dobytku swego pana, lecz nawet dzięki swej zwinności, zajadłości, a poniekąd i sile, niejednokrotnie już w obronie swego pana własne swe życie na niebezpieczeństwo narażał.

EMIL KARNEY.

O PROPAGANDĘ KSIĄŻKI MYŚLIWSKIEJ.

Dużo mamy w Polsce kulturalnych i prawidłowych towarzystw, kół i kółek łowieckich, których zadaniem jest krzewienie kultury wśród myśliwskiego ogółu. Piękne są statuty tych organizacyj, a o popieraniu wydawnictw myśliwskich żaden z tych statutów nie zapomina. Zastanówmy się tak jednak między sobą, bez skrupułów, szczerze i otwarcie, ile towarzystw, kół i kółek łowieckich stosuje się do tych wytycznych, ile z pośród tych prawidłowych organizacyj posiada rzecz najważniejszą dla członków — myśliwską bibljotekę, zaopatrzoną w nowości wydawnicze?

Łowiectwo jest nauką, jak każda inna, opartą o nauki przyrodnicze, których postęp wpływa na rozwój wiedzy myśliwskiej. Myśliwy, stojący poza nawiasem tych zainteresowań, nie może być uważany za prawidłowego i kulturalnego obywatela z pod znaku św. Huberta. „Trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty". Choć, mówiąc nawiasem, i w owym wieku złotym trzeba było uczyć się, aby osiągnąć pewien poziom niezbędnej w życiu łowieckiem kultury.

Wracam do postawionego na początku niniejszego artykułu pytania i zwracam się wprost do zarządów organizacyj łowieckich w Polsce z konkretnem pytaniem: czy towarzystwo (koło, kółko) posiada myśliwską bibljotekę? Od odpowiedzi na to pytanie zależy mój pogląd na kulturalną pracę danej organizacji.

Zasłanianie się brakiem literatury fachowej czy też beletrystycznej (bo i ta uczy), jest nonsensem. Polska literatura łowiecka tak samo w dziedzinie pięknej jak i ścisłej (monografje) stoi dziś w Europie na bardzo wysokim poziomie, a zainteresowanie się nią zagranicy stwierdza, iż nie podlegamy patrjotycznemu złudzeniu, dowodząc nieodzownej konieczności zapoznania się z nią każdemu, kto ma pretensję do tytułu prawidłowego myśliwego.

Jeżeli „dzielnicowo" zastanawiać się będziemy nad uświadomieniem pod tym względem sfer myśliwskich, dojdziemy do niechybnego wniosku, że najwyżej stoi tu Małopolska i b. Królestwo Kongresowe. Wileńszczyzna czyta zastraszająco mało mimo powstawania tam placówek kulturalnych, które winny szerzyć czytelnictwo. Miejmy nadzieję, że to się zmieni na lepsze. Wielkopolska jest jeszcze całkowicie pod wpływem niemieckiej literatury myśliwskiej, z bardzo nielicznymi wyjątkami, i jakgdyby nie dostrzegała wspaniałego, bujnego rozkwitu narodowego piśmiennictwa myśliwskiego. Zachodzi tu straszliwa dysproporcja między tak doniosłą rolą, jaką słusznie odgrywa Wielkopolska w hodowlanych poczynaniach kraju, a stosunkiem jej do prasy i literatury, będących najważniejszą osnową i podstawą

rodzimej kultury łowieckiej, traktowanych tam dziś — powiedzmy to otwarcie — po macoszemu. I tu należy mieć nadzieję, że w najbliższym czasie organizacje łowieckie przełamią opór jednostek i założywszy bibljoteki myśliwskie, zajmą się racjonalną propagandą polskiej książki łowieckiej.

Uwagi moje nie są, broń Boże, oskarżeniem tych czy innych towarzystw, tych czy innych kół i kółek, lecz stwierdzeniem, że jest tak, jak być nie powinno. Brak pieniędzy nie może być uważany za dostateczny powód do poniechania stworzenia bibljotek myśliwskich. Koszty założenia bibljoteki są minimalne. Wystarczą tu najzupełniej kary pieniężne za przekroczenia regulaminu myśliwskiego danego towarzystwa.

Oprócz dzieł ściśle łowieckich (fachowych i beletrystycznych), bibljoteka zawierać powinna książki podróżnicze i przyrodnicze, związane pośrednio z myślistwem.

Niejeden z członków chętnie wzbogaciłby ją darem, niejedna firma wydawnicza nadesłałaby swe nowości bezpłatnie, by zapoznać z niemi członków organizacji łowieckiej i zareklamować śród nich swą książkę.

A teraz powtarzam raz jeszcze konkretne pytanie: która z organizacyj łowieckich w Polsce posiada dziś bibljotekę myśliwską, która jest w trakcie tworzenia takiej bibljoteki? Odpowiedzi proszę nadsyłać pod mojem nazwiskiem do Redakcji „Łowca Polskiego".

JULJAN EJSMOND.



Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ.

Ziembicki Witold: Aleksander Cholewa Ubysz. Pseudonim: Simplicjusz Gawin. Myśliwy-gawędziarz. Wspomnienie. Bibljografja. Lwów. 1928 Str. 30.

Broszura powyższa, będąca odbitką z Nru 20, 21 i 22 „Łowca" z 1928 r. leży na mojem biurku w szacie skromnej, szarej, jak zwyczajnie każda niemal odbitka. A przecie kto ją dokładnie przeczyta, znajdzie w niej myśl głęboką i treść nader cenną. Autor, zamiłowany badacz literatury łowieckiej, opanował temat zupełnie i opracował go wszechstronnie z iście benedyktyńską cierpliwością i drobiazgowością, które są cechą wszystkich prac jego. Rozprawka sumienna, wypieszczona i wycyzelowana stawia przed oczyma czytelnika osobistość, która u schyłku XIX wieku położyła na niwie literatury łowieckiej kolosalne zasługi. Dzięki pełnym erudycji pracom Ubysza zamieszczanym na łamach „Łowca", obok prac człowieka o światowej sławie, Kazimierza hr. Wodzickiego, stanął „Łowiec" na wysokim, europejskim poziomie. I słusznie twierdzi autor, że okres ten był dla „Łowca" okresem złotym, gdy uzmysłowimy sobie, że równocześnie pracowało i trzecie pióro Władysława Spausty, autora arcydzieła „Na tropach".

Całą litanję niezrównanych prac zamieszczał Ubysz w „Łowcu"; spis ich podaje autor w swej rozprawce. Jedyną odbitką był „Chart" (1880, str. 99), jedyną książką „W borze i klasztorze" (1886, str. 87). Nadto pisywał Ubysz w „Ognisku domowem" (Lwów), a niektóre jego utwory literackie przetłumaczył Jan Praun na język niemiecki.

Świetnie charakteryzuje autor twórczość Ubysza. Oto dosłownie powtórzony jeden z ustępów:

„Drgająca żywością słowa i barwnością obrazów gawęda Ubysza odznacza się niezwykłem bogactwem treści. Myśliwy znajdzie tam zwierzynę, psy, konie, łowców wielkich i małych, magnatów, strzelców, dojeżdżaczy, kłusowników, ich broń i sposoby; zobaczy łowy, jakich już niema, usłyszy trąbkę, jakiej już nie słychać; dowie się, jak znikąd, mnóstwa rzeczy i dziś myśliwemu potrzebnych. Etnograf odkryje niejeden zwyczaj i obyczaj ludowy, z drobiazgową dokładnością opisany, odkryje strój, pieśń, gadkę, zabobon. Badacz języka będzie zdumiony obfitością nieznanych skądinąd wyrażeń myśliwskich, gospodarskich i innych, porównań, przypowieści, zwrotów przysłowiowych, wierszy ludowych polskich i rusińskich. Fizjograf doszuka się niejednej pożytecznej wiadomości o ówczesnem ukształtowaniu się tej lub owej okolicy; przyrodnik — niejednej wiadomości z ówczesnego życia naszej fauny. Nawet lekarz znajdzie temat dla siebie. Notując bowiem wszystko, nie pomija Ubysz nawet medycyny ludowej".

Odbitkę zdobią nadto dwie fotografje: 1) Ubysz z małżonką, 2) grób Ubysza i jego małżonki na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Autor jest zaprawdę „bene meritus" na polu literatury łowieckiej. Stanął wiernie na straży i z niezasłużonego pyłu niepamięci wydobywa na światło dzienne zasługi ludzi o wielkich walorach, którzy dla wdzięcznej sprawy łowieckiej złożyli swe serdeczne chęci i pożyteczny wielce owoc pracowitego żywota. Autor opracował — między innemi — bibljografję polskich i niemieckich prac Kazimierza hr. Wodzickiego, prace Ubysza i Spausty. Życzyć należy, by podobnego opracowania doczekali się Pietruski, Starzeński, Dygasiński, Janota, Nowicki i inni.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

Z KAPSZTADU DO NAIROBI.

(PRZYGODY SAMOCHODOWE I MYŚLIWSKIE).

(Zob. Nr. 8).

PRZEKROCZENIE RÓWNIKA.

Gdy ekspedycja przybyła do Nairobi, dowiedzieliśmy się z dzienników lokalnych, że podczas przeprawy przez rzekę Ruvu 5 ludzi postradało życie. Fałszywa ta wiadomość powstała wskutek przekręcenia naszej depeszy iskrowej, w której podawaliśmy cyfry, dotyczące wynagrodzenia tubylców za pomoc okazaną nam podczas przeprawy. Jedną z tych liczb wzięto na liczbę ofiar i stąd powstała wiadomość o utonięciu 5-ciu murzynów.

Chevrolety nasze ściągnęły liczne rzesze mieszkańców Nairobi.

Wieczorem udało się naszej stacji iskrowej pochwycić koncert nadawany przez stację londyńską. Ściągnęło to większe tłumy ciekawych, które długo rozprawiały o przygodach ekspedycji.

Przed opuszczeniem Nairobi zasięgnęliśmy języka co do dalszej podróży. W porze suchej podróż przez Kenję i Ugandę nie przedstawia zbyt wielkich trudności, lecz wobec istniejącej tam obecnie pory deszczowej, według otrzymanych wiadomości, nie można liczyć na zbyt sprzyjające warunki komunikacyjne, które w południowym Sudanie są nawet bardzo złe. Postanowiliśmy jednak wyruszyć w drogę, aby przekonać się naocznie o rzeczywistym stanie rzeczy.

Wyruszyliśmy w kierunku Sudanu przez Kenję i Ugandę do Gondokoro i Mangalli. Starano się przekonać nas, że podróż samochodem przez Sudan południowy jest szaleństwem, gdyż jest to kraj jeszcze zupełnie niedostępny dla komunikacji samochodowej. Ostrzeżenia te nie odwiodły nas od naszego postanowienia, gdyż nie wyobrażaliśmy sobie, żeby mogły być na świecie gorsze drogi od tych, jakieśmy napotykali w Tanganice.

Podsuwano nam kuszące propozycje udania się statkiem po Nilu do Mongali, aby w ten sposób ominąć złą część drogi. Nie ulegliśmy tym pokusom, ponieważ mieliśmy już za sobą wspaniały rekord, przez nikogo nie pobity.

NIEBEZPIECZNY NOSOROŻEC.

Każdy, kto udaje się w podróż przez Afrykę, musi być dobrze uzbrojonym, dobrym, o zimnej krwi strzelcem, żeby w razie potrzeby umieć zrobić należyty użytek z broni.

Myśmy używali broni bardzo rzadko — tylko w takich wypadkach, gdzie nie można było w inny sposób uniknąć niebezpieczeństwa, lub gdy trzeba było dopełnić nasze zapasy zwierzyną. Nie chcieliśmy bowiem niszczyć bezcelowo i tak przerzedzającej się fauny afrykańskiej.

W pobliżu granicy Tanganiki i Sudanu w ciągu jednego dnia spotkaliśmy trzy razy nosorożce. Zwierzęta spłoszone furkotem motoru, pierzchały trwożliwie, kryjąc się szybko w zaroślach, tak, że nasz operator kinematograficzny ledwie zdążył pochwycić je na film. Sądząc, że sam widok samochodu wystarcza w zupełności, aby nastraszyć nosorożca i w ten sposób uchronić się od bezpośredniego spotkania się z nim, nie uważaliśmy za konieczne trzymać w pogotowiu naszych karabinów. Droga była względnie niezła. Ciężarówka tym razem szła pierwsza, a za nią w odległości kilkuset kroków jechał sedan. Wtem z zarośli wytoczyło się olbrzymie cielsko nosorożca, który zaczął pędzić w kierunku sedanu. Postanowiliśmy ustąpić z drogi potworowi i skręciliśmy w bok. Nosorożec za nami. Nie widząc możliwości ucieczki przed nosorożcem w zaroślach, kap. Lacey postanowił uciekać przed wściekłem, niewiadomo z jakich przyczyn, zwierzęciem. Nosorożec zrobił dwie tury, dał za wygraną i popędził prosto przed siebie. Koledzy, którzy jechali ciężarówką, obserwowali nie bez strachu, a jednocześnie z zaciekawieniem, ucieczkę sedanu przed nosorożcem. Żartowaliśmy później wesoło, że jednak sedan Chevrolet okazał się zwinniejszy od nosorożca.



Po niebezpiecznej przeprawie przez rzekę Ruvu.

NA ŚLADACH LWÓW.

Po ciężkiej przeprawie przez rzekę Ruvu suszyliśmy się w stepach afrykańskich, gdyż droga do Moshi prowadziła przez równiny, porośnięte wysoką trawą. Miejscami ślad drogi był znaczny, lecz w niektórych miejscach była ona tak zarośnięta trawą, że bez kompasu określenie jej kierunku było wprost niemożliwe. Droga była miękka, ale jazda ogromnie twarda, — żartował kap. Lacey. Całą rozkosz tej stepowej drogi ocenialiśmy na podstawie kontrastu, wspominając nasze przeżycia nad rzeką Ruvu.

Pewnego popołudnia straciliśmy zupełnie drogę w gęstej i wysokiej trawie. Wobec tego, że noc już zapadała, postanowiliśmy zatrzymać się na nocleg na pobliskiej polance. Zauważyliśmy liczne ślady lwów w okolicy, położyliśmy w odległości jakichś dwudziestu kilku kroków od naszego obozu mięsną przynętę, od której poprowadziliśmy krwawy ślad ku sąsiednim zaroślom. Rozłożyliśmy ognisko. Dym podnosił się prostym słupem w powietrze. Myśmy siedzieli dokoła ogniska i rozprawialiśmy na temat naszych wydarzeń z dni ubiegłych. Wtem nasz pies Polly, maskot ekspedycji, zaczął gwałtownie szczekać w kierunku przynęty. Słyszeliśmy, jakby ktoś coś ciągnął przez zarośla. To było wszystko. Przynęta zginęła. Postanowiliśmy założyć drugą bliżej obozu. Przywiązaliśmy całą ćwiartkę mięsa, skierowaliśmy na nią reflektory samochodów i przyszykowaliśmy wszystkie nasze strzelby. W ciągu trzech godzin nic nie zaszło. Zmęczeni wyczekiwaniem, poszliśmy spać. Około godziny trzeciej nad ranem operator Williams obudził się i poszedł sprawdzić, czy mięso jest na miejscu. Okazało się, że nietylko mięso zniknęło, ale i sznur, na którym było przywiązane.

Następnego dnia spotkaliśmy olbrzymiego lwa, który siedział spokojnie obok drogi. Gdyśmy się nieco zbliżyli, król pustyni skrył się w gaszczach. Popołudniu napotkaliśmy stadko perliczek afrykańskich. Strzeliłem i zabiłem dwie. Gdy zmierzyłem się po raz drugi, Ali, towarzyszący nam tubylec, szarpnął mnie za rękaw i nerwowymi ruchami rąk starał się mnie coś pokazać. Gdym strzelił po raz drugi, cztery lwy w odległości 200 metr. wyskoczyły z trawy, lecz zanim Ali podał mi strzelbę, lwy zdążyły zniknąć w zaroślach.

Następnego dnia rano, gdyśmy jeszcze pozostawali w łóżkach, usłyszeliśmy dwa strzały, jeden za drugim. Wyskoczyliśmy wszyscy nazewnątrz. I co się okazało?... Kap. Lacey, chcąc powetować swe niepowodzenie dnia ubiegłego, postanowił sam zapolować na lwy. Wstał rano z zamiarem udania się na poszukiwanie ich, lecz nie zdążył odejść nawet kilkanaście kroków od obozu, gdy zauważył podejrzane ruchy traw, które wskazywały, że zwierz zbliża się w kierunku polany. Po paru chwilach wysunęła się ostrożnie głowa króla pustyni, a po chwili cała jego wspaniała postać. Lew oglądał się ostrożnie. Gdy zobaczył postać ludzką, jakby zastanowił się na chwilę, poczem dał susa w gęstwinę trawy. W tym momencie padł strzał: zraniony lew przysiadł na tylnych łapach. Wówczas kap. Lacey celnym strzałem położył go trupem na miejscu. Załadowaliśmy zdobycz na ciężarówkę i ruszyliśmy w dalszą drogę.

WĘŻE I SKORPJONY.

Długo w noc siedzieliśmy przy ognisku, opowiadając sobie wzajemnie straszne historję o duchach. Była to jedna z tych pięciu ciężkich nocy, spędzonych nad brzegiem rozlanej rzeki Ruvu, kiedy to wyczekiwaliśmy warunków przeprawy. Opowiadanie o duchach w mroczną noc w cieniu wulkanu Kilimandżaro miało w sobie coś niesamowitego. Mrówki rozkosznego strachu chodziły nam po plecach. Odżyły w naszej pamięci wspomnienia lat dziecięcych, kiedy to w długie zimowe wieczory, skupieni dokoła starej niani, słuchaliśmy znieruchomieni strasznych powieści o duchach, bojąc się spojrzeć w czarne ślepia okien, aby nie ujrzeć w nich jakiejś strasznej zjawy.

Ogień palił się leniwo, wilgotne gałęzie syczały dziwnie, a syk ich chwilami przechodził w jakiś żałosny jęk, którym podobno skarżą się dusze w czyśćcu cierpiące. Williams sięgnął ręką po polano, które leżało w odległości 4 stóp, by dorzucić je do ogniska. Zaledwie podniósł polano, rzucił je gwałtownie, jak gdyby chwycił za rozpalone żelazo. W szczelinie polana znajdował się oślizgły wąż. Wilson, który jest doskonałym znawcą wężów, stwierdził odrazu, że jest to wąż z gatunku najbardziej jadowitych. Wziął gada szczypcami i rzucił go na węgle.

Gości takich spotykaliśmy w naszej podróży na każdym kroku i musieliśmy mieć się na baczności, aby uniknąć ukąszeń w większości wypadków, śmiertelnych.

Ale nietylko przed wężami musieliśmy mieć się na baczności. Każdy raz przed udaniem się na spoczynek musieliśmy bardzo skrupulatnie trzepać nasze prześcieradła i kołdry, ażeby wypłoszyć wszystkie skorpjony, które zagnieździły się tam podczas dnia. Początkowo po takiej operacji długo nie mogliśmy usnąć, gdyż zdawało się, że gdzieś w zwoju kołdry siedzi jakiś niedostrzeżony przez nas skorpjon, który lada chwila wypełznie, ażeby ukłuć swem jadowitem żądłem. Codzienne jednak tego rodzaju operacje znieczuliły naszą europejską wrażliwość do tego stopnia, że wytrząsanie skorpjonów z naszej pościeli uważaliśmy na normalną czynność codzienną, którą trzeba było wykonać przed udaniem się na spoczynek.



Przeprawa przez pustynię. Samochody jadące po siatkach stalowych.

W OKOLICACH RÓWNIKA.

Po odpoczynku w Nairobi wyruszyliśmy wczesnym rankiem do Nakurui, miasteczka odległego o 110 mil na północ od Nairobi, znajdującego się w okolicach równika. Droga początkowo była fatalna. Chevrolety nasze raz po raz zapadały się po osie w gęste błoto. Przekonaliśmy się, iż to, co nam mówiono w Nairobi o drodze do Nakurui, wcale nie było dalekie od prawdy. Wkrótce natrafiliśmy na przeszkodę wprost do nieprzebycia. Rozległe bagna, ciągnące się na kilkanaście kilometrów, zagrodziły nam drogę. Nie było innej rady, jak uciec się do pomocy tubylców. Kap. Lacey wynajął 100 czarnuchów, którzy pomogli nam przeciągnąć nasze Chevrolety przez trzęsawiska. Przeprawa trwała prawie dzień cały. Zmęczeni i wyczerpani przyjęliśmy z prawdziwą radością zaproszenie na nocleg przez farmera Graswolde Riet Velley, bardzo malowniczej miejscowości.

Razem z nami z Nairobi wyruszyła samochodem Williams'a do pobliskiej farmy, położonej w Great młoda para nowożeńców w podróż poślubną do Nakurui, lecz już na 20-tej mili odważni nowożeńcy po-

stanowili zrezygnować z dalszej podróży, gdyż przyszli do przekonania, że podróż poślubna po drogach afrykańskich daleka jest od przyjemności. Pan młody przekonał się bardzo szybko, że łatwiej jest podbić serce kobiety, niż pokonać afrykańskie trudności komunikacyjne. Młodzi pozostali w Kikuju (niestety, tak nazywała się miejscowość, gdzie zostali zmuszeni do spędzenia pierwszej nocy poślubnej), a my, nie będąc obciążeni balastem małżeństwa, kontynuowaliśmy naszą podróż.



Przeprawa przez trzęsawiska Centralnej Afryki.

JEZIORO FLAMINGÓW.

Po wygodnym wypoczynku na farmie, niezaznanym od dłuższego czasu, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Od samego rana lał ulewny deszcz. Mimo to jednak wszyscy byliśmy w wyśmienitych humorach, gdyż znaleźliśmy się wreszcie na prawdziwej drodze, co pozwoliło nam rozwinąć względnie dużą szybkość po raz pierwszy od wyjazdu z Kapsztadu.

Popołudniu tego samego dnia stanęliśmy w miasteczku Nakurui, gdzie zwiedziliśmy pobliskie, malownicze jezioro, ulubione miejsce flamingów. Operator kinetograficzny skorzystał z okazji i sfilmował wznoszące się stada tych pysznych ptaków. Zwiedziliśmy również dymiący wulkan Kenja, który także został uwieczniony na filmie.

Północna Kenia przedstawia teren górzysty. Drogi miejscami są bardzo strome i kamieniste, lecz nie przedstawiały one dla nas niebezpieczeństwa, dzięki sprawnie funkcjonującym hamulcom naszych Chevroletów.

Okoliczne góry pokryte zielonym kobiercem gęstej trawy, przedstawiały bardzo malowniczy widok.

Dnia 5 - go czerwca przekroczyliśmy równik. Wprawdzie słońce rzucało swe promienie pionowo na nasze głowy, lecz bynajmniej nie odczuwaliśmy upału, ponieważ znajdowaliśmy się na wysokości 6000 stóp nad poziomem morza. Dziwnie jednak czuliśmy się na postojach, gdyż nigdzie nie mogliśmy znaleźć cienia, mając słońce wprost nad głowami.

Droga w dalszym ciągu nie pozostawiała nic do życzenia, wobec czego jechaliśmy na pełnym gazie. Oba Chevrolety szły cicho i równo, jak gdyby nie miały po za sobą 4000 mil trzęsawisk, błot i wogóle bezdroży Afryki Południowej i Podzwrotnikowej. Na samym równiku zatrzymaliśmy się tylko na krótko w celu dokonania zdjęcia fotograficznego jedynego tu słupa, uprzytamniającego podróżnym, że znajdują się na równiku. Wspaniała droga, która prowadzi z Nakurui do Eldamarivine na granicy Kenii i Ugandy, została zepsuta przez wylew potoków górskich. Chevrolety nasze na przestrzeni kilku mil ślizgały się po zamulonej wylewem powierzchni.

Wobec górzystego terenu okolicy i licznych górskich strumieni co chwila spotykaliśmy mosty najróżnorodniejszej konstrukcji: zwykłe drewniane, żelazne i betonowe. Chcąc skrócić sobie podróż, wzięliśmy boczną drogę. Gdyśmy wjechali na duży most, przerzucony przez wąwóz, zauważyliśmy, że jezdnia porośnięta jest trawą. Jak dowiedzieliśmy się później, most ten od kilku lat był omijany jako niebezpieczny, ponieważ groził zawaleniem się.

Na trzeci dzień po przekroczeniu równika znaleźliśmy się na terytorjum Ugandy, zdążając do granicy Sudanu. Stan dróg w dalszym ciągu przedstawiał się jaknajlepiej. Jechaliśmy jak po stole, przy maksymalnej szybkości, obiecując sobie dotrzeć do Nilu w przeciągu dwóch dni, co w rzeczywistości udało się nam.

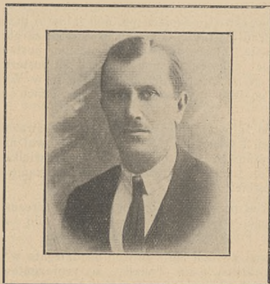
W OCZEKIWANIU NA PRZEWODNIKA.

W Monyalla zmuszeni byliśmy zatrzymać się dłużej w oczekiwaniu na przewodnika, który specjalnie został wysłany z Aleksandrji. Przewodnik ten był niezbędny, gdyż Sudan Południowy przedstawia olbrzymie trudności dla komunikacji samochodowej, nawet w najbardziej pogodnej porze roku. Obecnie zaś trudności te zwiększyły się znacznie wskutek panującej tu pory deszczów. Chcąc ominąć ten trudny i ciężki kawałek drogi, kap. Lacey postanowił zmienić marszrutę i przedostać się na teren Sudanu poprzez Congo francuskie.

Oczekując w Mongalli na przewodnika, urządziliśmy małe przedstawienie kinematograficzne, na którego program złożyły się prywatne filmy kap. Lacey, ilustrujące główniejsze perypetje naszej ekspedycji.

Z przymusowego wypoczynku w Mongalli byliśmy nawet do pewnego stopnia zadowoleni, albowiem ulewa srożyła się bez przerwy od kilku dni. Chcąc jednak skrócić sobie czas, próbowaliśmy skomunikować się z Londynem za pomocą naszej radjo-stacji, lecz wskutek silnych deszczów nie mogliśmy w żaden sposób połączyć się z jakąkolwiek stacją radjową. (D. n.)

Z Żałobnej Karty.



Ś. p. Jan Zwoliński zmarł dnia 18 lutego 1929 roku w Pińsku. Zamiłowany myśliwy, członek Towarzystw Łowieckich, najmilszy towarzysz na łowach. Człowiek o wielkiem sercu, czystej duszy. Szermierz z dni dawno minionych, rozkochany w legendach i baśniach rycerskich, na wzór tych rycerzy stawiający. Honor, dobrze pojęty, był mu drogowskazem życiowym. Pomocny i mądry w potrzebie honorowej. A przytem dobroć wielka i szlachetność, które z niebieskich, czystych oczu Jego pogodnie i promiennie na świat spoglądały. — H.

Z Centr. Zw. Polsk. Stow. Łow.

Posiedzenie Wydziału Wykonawczego z dnia 16-go lutego 1929 roku.

Obecni: pp. Stanisław Lilpop, przewodn., W. Szperling, W. Garczyński, K. Tołłoczko, W. Kiltynowicz, Z. Wysocki i J. Bokiewicz. W charakterze gościa p. J. Oreński.

Na wstępie posiedzenia przewodniczący udzielił głosu p. Oreńskiemu, który przedstawił wnioski Komitetu Red. „Łowca Polskiego", a mianowicie: 1) w sprawie przyznania na organizację i urządzenie kiosku propagującego „Łowca Polsk." na Powsz. Wystawie Kraj. w Poznaniu, odpowiedniego kredytu; 2) przystąpienia do Związku Wydawców w Warszawie; 3) o zaproszenie dr. weter. Ignacego Gryminskiego do Komitetu Redakcyjnego. Wydział postanowił: 1) wyznaczyć na urządzenie kiosku kredyt do wysokości 1.500 złotych (maksymalnie); 2) Sprawę przystąpienia do Związku Wydział odłożył do czasu opracowania szczegółowego wniosku przez pp. Kiltynowicza i Oreńskiego; 3) Przychylnie załatwił wniosek o zaproszenie dr. Grymińskiego do Komitetu Red. Pan Oreński po wyczerpaniu powyższego punktu zebranie opuścił.

Ponieważ Sekcja Polska Tow. Międz. Ochrony Żubra podniosła składki członkowskie do wysokości 15 i 50 złotych, Wydział postanowił wystosować do Sekcji list, w którym zaznaczy, że podwyżka ta niezgodna jest ze statutem Tow. Ochrony Żubra, oraz, że nie wiedząc o tem wcześniej, Wydział rozesłał odezwy do swych Członków i Delegatów powiatowych o przystępowanie do Sekcji, podając statutowe składki, t. j. 10 i 40 złotych.

Wydział postanowił zamieścić w „Ł. P." sprawozdania delegatów w pow. Łaskim i Kaliskim, pp. Walickiego i Raszewskiego, przyczem temu ostatniemu Wydział postanowił listownie podziękować za jego owocną pracę. Takie samo podziękowanie Wydział prześle delegatowi w pow. Radomskim, p. Żarnowskiemu.

W związku z podaniami pp. delegatów o przyznanie nagród dla policji i straży łowieckiej za gorliwe zwalczanie kłusownictwa, Wydział postanowił przyznać nagrodę w sumie złotych 50 posterunkowi pol. p. w Lesznie, 50 zł. post. p. p. w Wygiełzowie, po 100 zł. posterunkom p. p. w Tyńcu i Koźminku.

Co do zgłoszeń o wynagrodzenie dwu strażników ordynacji Łańcuckiej, Wydział zdecydował nagród nie przyznawać, ze względu na to, że tak wielkie dominja, jak Łańcut, posiadają na wynagradzanie straży specjalne fundusze.

Wydział przyjął do wiadomości list p. prezesa hr. Bielskiego, wyjaśniający jego stosunek do władz Pierwsz. Polskiego Instytutu Łowieckiego.

Wydział zwrócił się z prośbą do delegata w pow. Nowogródzkim, p. M. Tukałły, o reprezentowanie Centralnego Związku na Zjeździe delegatów powiatowych i prezesów powiatowych Towarzystw Łowieckich woj. Nowogródzkiego, który to Zjazd zwołano na 24 lutego w Lidzie.

Wydział zaakceptował kandydatury na delegatów w pow. Warszawskim, Piotrkowskim i Płońskim, w osobach pp. M. hr. Potockiego, J. Walickiego i T. Abramowicza.

Wydział przyjął do wiadomości zgodę pp. Lilpopa, Niezabitowskiego, Potockiego, Świętorzeckiego i Schechtla na wzięcie udziału w jury konkursu na monografję łosia.

Protokuł posiedzenia Zarządu C. Zw. z dnia 26.II.1929 roku.

Obecni: pp. Edw. hr. Krasiński, przewodniczący, L. Skulski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, W. Kiltynowicz, W. Szperling, J. Skrzypek, K. Świderski, H. Tietz, Z. Wysocki, J. Zenczykowski, J. Leporowski w z. K. Chłapowskiego, J. Sumowski i J. Bokiewicz, nieobecność usprawiedlili pp. J. hr. Bielski, A. Unrug, K. Tołłoczko i St. Lilpop.

Zaliczono w poczet Członków Centrali Wołyńskie Tow. Łowieckie.

Zgodnie z wnioskami wydziału wykonawczego, Zarząd postanowił: a) wystąpić do Min. Rolnictwa z prośbą o przyśpieszenie ukazania się roty przysięgi; b) wystąpić do tegoż Ministerstwa o odebranie broni długiej u państwowej straży leśnej i zastąpienie na broń krótką; c) wystąpić do Min. Spraw Wewnętrznych, aby skonfiskowana broń kłusownikom podlegała zniszczeniu, a nie sprzedaży w drodze licytacji.

Zarząd postanowił zapisać Centr. Związek na członka Pierwsz. Polskiego Instytutu Łowieckiego za roczną opłatą złotych 60.

Zarząd wysłuchał projekt memorjału w opracowaniu p. mec. Garczyńskiego, w sprawie mylnego interpretowania przez władze administracyjne niektórych postanowień Prawa Łowieckiego. Część memorjału odosząca się do sprawy tworzenia rewirów łowieckich uznano za wymagającą specjalnego opracowania, którego wynikiem byłoby zaprojektowanie zarządzeń, jakieby w tej mierze wydać należało. Zarząd polecił Wydziałowi Wykonawczemu wyłonić komisję, któraby nawiązała porozumienie z referatami Prawnym i Łowieckim Min. Rolnictwa. Ze swej strony Zarząd proponował do komisji wspomnianej pp. Skulskiego, Garczyńskiego i Gędziorowskiego.

Projekt zmian statutu Centrali zreferował p. mec. Garczyński. Po poczynieniu niewielkich poprawek, Zarząd projekt zaakceptował, polecając przesłać projekt statutu do Małopolskiego Tow. Łowieckiego, które proszone będzie o wyrażenie swych ewentualnych uwag.

Wobec nieobecności pana prezesa hr. Bielskiego i p. St. Lilpopa, wręczenie adresu dziękczynnego panu ministrowi Rolnictwa odłożono do następnego posiedzenia Zarządu.

Członek Zarządu, p. K. Świderski, podniósł sprawę prenmerowania „Ł. P." przez pp. del. powiatowych. Na wstępie zaznaczył p. Świderski, że pomija w swoiem przemówieniu sprawę delegatów Centralnego Związku w Małopolsce, ponieważ nieobecny jest na posiedzeniu p. hr. Bielski. Po dyskusji na temat powyższy, Zarząd odłożył powzięcie uchwały do następnego swego posiedzenia.

Z-ca p. K. Chłapowskiego, p. Leporowski, usprawiedliwił nieobecność pp. Chłapowskiego i A. Unruga. Nawiązując do prenumerowania „Łowca Polskiego", zaznaczył p. Leporowski, że w niedługim czasie, za sprawą Wielkopolskiego Zw. Myśliwych przybędzie na terenie Wielkopolski paręset nowych abonentów. Zarząd przyjął z wyrazami uznania i podzięki powyższą wiadomość. Pozatem Zarząd zapoznał się ze szkicem pawilonu myśliwskiego na Powsz. Wyst. Kr. w Poznaniu i polecił zamieścić szkic w „Łowcu Polskim".

ODDZIAŁ KRAKOWSKI MAŁ. TOW. ŁOW.

Na zebraniu ogólnem Oddziału krakowskiego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego wybrani zostali do prezydjum pp. Józef Stiller prezes, Adam hr. Starzeński wiceprezes, inż. Karol Barwicz. Andrzej Strzemię - Chwalibóg, Marjan Jagusiński, dr Adam Lardemer, Witold Michałowski, Stanisław

Morawetz i kooptow. Kazimierz Brzeziński. Na zastępców — pp. Włodzimierz hr. Tyszkiewicz, inż. Wincenty Wobr i Stanisław Zacharyasz. Do komisji rewizyjnej — pp. Zygmunt Józefczyk, Karol Manda, Mieczysław Górka i Ludwik Knapiński.

Po zebraniu Wydział wybrał na sekretarza i skarbnika p. Stanisława Morawetza, a na referenta łowieckiego p. prok. Witolda Michałowskiego.

TOW. MYŚL. W CHODOROWIE.

Ze sprawozdania z działalności Towarzystwa Myśliwskiego w Chodorowie w Małopolsce dowiadujemy się, że posiada ono prawo polowania w 14 gminach o łącznym obszarze około 18.000 morgów. Na karmę dla zwierzyny wydano 311 zł., oprócz jarmużu, który zebrano z 2 morgów. Wytępiono 19 psów, 8 kotów, 27 jastrzębi i 130 wron. Strażnikom wypłacono 196 złotych strzałowego. Towarzystwo narzeka, że handel zwierzyną i skórkami w tamtych stronach jest zupełnie niekontrolowany, wskutek czego wnykarze i kłusownicy mają możność łatwego zbytu upolowanej zwierzyny.

CZASY OCHRONNE.

Oddział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie postanowił rozpocząć starania o przedłużenie czasu ochronnego zająca w obrębie województwa Krakowskiego na rok 1929 do d. 31 października, oraz o przedłużenie ochrony sarny-kozła w r. 1929 i 1930 do d. 31 maja.

Kronika Myśliwska.

—o— W kniei pp. Jaruzelskich pod Skałatem na Podolu d. 28 i 29 grudnia w 20 strzelb, w czem 1 damska, p. Zofji Grocholskiej, zabito 437 zajęcy, 4 lisy i 9 bażantów; do kozłów nie strzelano.

—o— W okolicach Skałatu w Małopolsce odbyły się następujące polowania:

W Mysłowej p. Józefa Geringera d. 24 grudnia; padło 16 zajęcy.

W Rożyskach i Łące Małej p. Kazimierza Grocholskiego d. 4 i 5 stycznia — 70 zajęcy.

W Monasterysze pp. Ksaw. Jaruzelskich d. 19 października i 2 stycznia — 3 słonki i 48 zajęcy.

W Grabniku p. Józefa Tenenbauma d. 31 grudnia — 38 zajęcy.

—o— W Jaryczowie p. Leona Krzeczunowicza w Małopolsce w styczniu w 13 strzelb w 6 miotach leśnych i 7 kotłach padło 208 zajęcy i 2 lisy.

Tamże ubiegłego lata zabito przygodnie kilkanaście dzików, a na podjazdach — kilkanaście rogaczy.

—o— W Bachorcu p. Ksawerego hr. Krasickiego w powiecie Przemyskim na polowaniu w 5 strzelb w d. 21 — 23 stycznia w lesie i w polu zabito 1 żbika, 1 lisa, 271 zajęcy i 1 jestrzębia; pozatem były 3 odstrzelone sarny - kozy na rachunek otrzymanego odstrzału. Stan sarn jest doskonały, widziano po 30 sztuk i więcej w rudlach.

—o— W Targowicy Polnej p. Wiktora Abramowicza w Horodeńskiem d. 16 stycznia w 18 strzelb przy 115 ludziach naganki zabito 149 zajęcy, a d. 17 stycznia w kilka strzelb — 40 zajęcy.

—o— W Chorobrowie pp. Skarbek - Kruszewskich w Małopolsce d. 3 stycznia w 4 kotłach i w 14 strzelb zabito 128 zajęcy, a d. 5 stycznia — 109 zajęcy.

—o— W Nowosiołkach p. Edwarda hr. Błażewskiego w d. 9 i 10 stycznia padło 7 dzików, 2 lisy i 16 zajęcy.

—o— W Wiszence koło Janowa w Małopolsce d. 25 i 26 stycznia padły 3 dziki i 19 zajęcy.

—o— Towarzystwo Myśliwskie w Chodorowie w Małopolsce w ubiegłym sezonie urządziło 8 polowań, na których padły 3 lisy, 4 rogacze i 136 zajęcy.

—o— Na 15 polowaniach Towarzystwa Myśliwskiego „Nemrod" ze Lwowa, w przeciętnej liczbie 13 — 15 strzelb, zabito 5 rogaczy, 3 lisy, 355 zajęcy, 34 kuropatwy i 8 szkodników. Najwięcej: 30 zajęcy, 2 rogacze, 1 lisa, 2 kuropatwy i 1 szkodnika, zabił p. Eligjusz Szamota.

—o— W powiecie Sanockim odbyły się następujące polowania:

W Niebieszczanach p. Adama Myczkowskiego d. 31 października zabito 10 zajęcy.

W Załużu p. Pawła Wiktora d. 7 listopada — 1 odyńca i 7 zajęcy.

W Odrzechowej p. Józefa Morawskiego d. 14 i 15 grudnia — 1 lisa, 3 rogacze i 9 zajęcy.

W Besku p. Jerzego Myczkowskiego — 80 zajęcy.

—b.— W dniu 18.I r. b. odbyło się polowanie w lasach maj. Kuncowszczyzna, pow. Nieświeskiego u p. Józefa Woyniłowicza. W 6 strzelb zabito wilka, lisa i 21 zajęcy. Kozłów, cietrzewi i jarząbków nie strzelano ze względu na ochronę. 2 ciężko ranne wilki zdołały przejść przez granicę Państwa (strzelane o pół klm. od granicy). Najwięcej zabił p. Włodzimierz Korsak: wilka, lisa i 5 zajęcy.



UKARANIE KŁUSOWNIKÓW.

P. starosta Bialski decyzją z dnia 26.II ukarał:

I. za nielegalne posiadanie broni: Józefa Grabowskiego z Wólki Plebańskiej na 200 zł. (z zamianą na 20 dni aresztu), Józefa Bojarskiego z Białej Podl. na 100 zł. (5 dni), Cyprjana Padysiewicza z Woskrzenic na 300 zł. (10 dni), Jana Padyniewicza z Woskrzenic na 300 zł. (10 dni), Władysława Lińskiego z Porosiuk, Lucjana Tokarskiego z Białej Podl., Franciszka Wawryńczuka z Porosiuk i Jakóba Miłosza z Kopytowa po 100 zł. (po 7 dni).

II. Za nielegalne posiadanie broni łącznie z kłusownictwem: Stanisława Melaniuka z Dubowa, Jana Kulawca z Dubowa i Józefa Baranowskiego z Wólki Plebańskiej po 300 zł. (po 3 tyg). Wiktora Piotrowskiego na 500 zł. (6 tygodni).

III. Za kłusownictwo: Aleksandra Baranowskiego z Wólki Plebańskiej, Jana Romaniuka z Woskrzenic Dużych po 100 zł., Bazylego Burdę ze Styrzyńca i Józefa Grabowskiego z Wólki Plebańskiej po 300 zł.

IV. Za polowanie w czasie zakazanym: Jana Nowaka z Burwina na 100 zł. (10 dni).

V. Za polowanie na cudzych terenach łowieckich. Jana Brodackiego z Białej Podl. na 150 zł. (20 dni).

KŁUSOWNICTWO POD CHEŁMEM.

Szereg protokułów policyjnych donosi o grasujących w okolicach Chełma kłusownikach, którzy polują na zające lub zastawiają sidła na kuropatwy. W mieście znów jest kilkunastu żydów, którzy dziczyznę tę skupują dla handlu, zachęcając w ten sposób kłusowników do dalszego trzebienia zwierzyny.

Ujęto tam Magdalenę Augustynowicz z Horodyszcz, która przyniosła na rynek 4 żywe kuropatwy, złapane za pomocą sideł. To samo ma na sumieniu Piotr Solar z Rakołup, którego przyłapał p. inżynier Bołtienko. Józef Dziadko upolował zająca z zamiarem spieniężenia go na targu. Józef Poper z Barbarówka gm. Turka przywędrował do Chełma z dwiema żywemi kuropatwami, Rozalja Wałas z Leonowa gm. Staw również poszła w ślady Popera. Popierali zaś ich przez kupowanie dziczyzny Sura Wajs (Szkolna 11), Boruch Szyfka (Kolejowa 51) i Joel Eister (Seminaryjska 14).

W sprawach tych władze postępowały w ten sposób, że dziczyznę ubitą konfiskowały, żywe zaś kuropatwy puszczono na wolność. Winowajców czeka kara.

— **Schwytanie 45 gołębiarzy.** — W majątkach p. Jana Madeyskiego, Parchaczu i Sielcu w Małopolsce, w r. z. i IV kwartale roku 1927 schwytano 45 gołębiarzy (Astur palumbarius) na 5 łapek klatkowych, samozatrzaskowych z żywym gołębiem jako przynętą.

— **Atak rogacza.** — W Przystani pow. Żółkiewskiego rogacz trafiony z mausera na 146 kroków, zerwał się i wpakował rogi w kożuszek zbliżającego się strzelca. Róg się ułamał i pozostał w kożuchu. Myśliwy dostrzelił rogacza z rewolweru.

— **Kaczor na mrozie.** — W pobliżu lasów Butyńskich w powiecie Żółkiewskim na polowaniu w kotle na zające podczas 18-stopniowego mrozu zabito kaczora-krzyżówkę.

— **Kłusownicy mordercami.** — W roku zeszłym opisaliśmy fakt zamordowania przez kłusownika Sergjusza Sawickiego w d. 5 stycznia 1928 roku gajowego nadleśnictwa Grodzieńskiego, ś. p. Józefa Kurczyka. Mordercę wypuszczono z aresztu za kaucją 300 zł. Obecnie sąd okręgowy w Grodnie na posiedzeniu w d. 25 lutego r. b. skazał kłusownika za mord bestjalski na 10 lat ciężkiego więzienia.

Wieczorem w sobotę 2 b. m. wyszedł z domu gajowy Paweł Labert z Wierzonki (pow. Poznański) w celu tropienia kłusowników. Gajowy na noc nie wrócił do domu, a zaniepokojana rodzina dowiedziała się rano, że znaleziono go w lesie nieżywego z pokłutą nożem głową. Okazało się, że gajowego napadł kłusownik, który go w okropny sposób zamordował, zabrał mu fuzję, papiery i zegarek i zbiegł. Ślady wskazują, że toczyła się walka. Kłusownik na miejscu wypadku pozostawił worek z zabitą sarną. Na miejsce strasznej zbrodni policja wysłała urzędników śledczych.

— **Bezskuteczne obławy na wilki.** — Pod Sanokiem, gdzie się pokazały wilki, urządzono dwudniową obławę, ale bez rezultatu.

W lasach Sadowskich w pobliżu Nakła pod Bydgoszczą urządzono obławę na wilki, która również nie dała żadnych wyników.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

F. Antoni Ossendowski: Życie i przygody małpki. Powieść dla dzieci. 1929.

Popularny u nas autor dał czarującą książkę dla najmłodszych czytelników. Napisana z miłością dla zwierząt, powieść odpowiada całkowicie rozwojowi intelektualnemu dziatwy. Dżungla, słonie, hipopotamy, węże, lwy, lamparty, małpki i inne zwierzęta są pokazane w warunkach wolnego życia afrykańskiego, które tak dobrze zna Ossendowski. Przygody małpki w niewoli są pełne rzewnych a głębokich przeżyć. Myśli wypowiadane w imieniu szympansiczki Kaśki odznaczają się szlachetnością i odpowiadają w zupełności najlepszym zasadom wychowania dzieci.

„Życie i przygody małpki" staną się ulubioną książką dziatwy.

Niezawodnie i starsze pokolenie z przyjemnością i zainteresowaniem przeczyta powieść o mądrej szympansiczce. Ilustracje utalentowanego Kamila Mackiewicza zdobią tę książkę.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Początki hodowli lisów srebrnych. — Coraz bardziej wzrastające ceny futra srebrnych lisów podsunęły łowcom myśl podjęcia ich hodowli. Pierwsza próba dokonana została w r. 1887 na wyspie Księcia Edwarda, a wiąże się z nazwiskami dwóch traperów, Daltona i Oultona, którzy postanowili schwytać w sidła parę lisów i hodować je w klatce. Oczywiście pierwsza ta próba połączona była z ogromnemi trudnościami, przedewszystkiem ze względu na nieznajomość gastronomicznego regime'u lisów, ale mimo wszystko uwieńczona została powodzeniem.

W r. 1890 powstaje ferma lisia, zaopatrzona w dwie pary reproduktorów, zakupionych w r. 1889 u traperów. Jest to pierwszy krok na drodze ku utworzeniu potężnej, wysoko dochodowej gałęzi przemysłu. W r. 1910 zjawia się w Londynie pierwsza kolekcja futer srebrnych lisów, przysłana przez hodowców, a futra te są piękniejsze od wszelkich, poprzednio na rynku spotykanych. Na kolekcję składa się dwadzieścia pięć skórek, o przeciętnej cenie 1,386 dolarów, przyczem najpiękniejsze uzyskują cenę 2,624 dolary. Wieść o świetnych wynikach finansowych tej hodowli rozchodzi się błyskawicznie i w całej Ameryce poczynają powstawać fermy lisie. W r. 1922 jest już przeszło pięciuset hodowców w Kanadzie i tyluż niemal w Stanach Zjednoczonych, a fortuny ich rosną z dnia na dzień. Oczywiście zdarzają się także wypadki niepowodzenia wskutek braku metody i zmysłów organizacyjnego, gdyż przedsięwzięcie to do łatwych nie należy.

STRZELNICTWO.

= **Zawody myśliwskie w Stokholmie.** — Podczas międzynarodowych zawodów strzeleckich, które odbędą się w Sztokholmie w sierpniu r. b. specjalny dział będzie poświęcony zawodom myśliwskim.

Program tego działu obejmuje: A) strzelanie do rzutków: a) o mistrzostwo Europy rozpocznie się dn. 9.VIII; b) o mistrzostwo świata dnia 14.VIII. B) Strzelanie do biegnącego jelenia: a) strzał pojedyńczy; początek zawodów 11.VIII; strzał podwójny; początek zawodów 16.VII.

Strzelnica myśliwska: na wyspie Lidingön; — samochodem z centrum miasta 30 minut drogi.

Ilość stanowisk: 45 na 300 mtr.; 30 na 50 mtr.

Ulgi w przejazdach: uczestnicy zawodów otrzymują 50% zniżkę kolejową II i III klasy (z wyjątkiem wagonów sypialnych) na przestrzeni: Trelleborg (via Sasnitz, Niemcy) — Sztokholm, Gotenburg (via Anglja) — Sztokholm i Chartlottenburg (via Norwegja) — Sztokholm. Wagony sypialne I — III kl.

Cło: każdy zawodnik może przewieźć 3 szt. broni i amunicję — bez obowiązku opłacania cła.

Zakwaterowanie i wyżywienie: hotel ze śniadaniem i obiadem około 11 koron dziennie.

Zgłoszenia: najpóźniej do 1 kwietnia 1929 do generalnego sekretarjatu.

Korespondencja: Kpt. H. Victorin, Oscar - Fredriksborg, Szwecja.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

Redaktorzy: Julian Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Centr. Związek Polsk. Stow. Łowieckich.

HUMOR MYŚLIWSKI.

Pies a adwokat.

Weinblatta ugryzł pies i rozerwał mu spodnie. Weinblatt więc zaskarżył właściciela psa do sądu.

Po sprawie spotyka na ulicy przyjaciela.

— No i cóż? — pyta przyjaciel.

— No i nic! — odpowiada Weinblatt. — Tamten miał dobrego adwokata, który dowiódł, że to ja psa ugryzłem!

Z listu myśliwego.

Już trzeci dzień jestem na polowaniu. Każdego rana budzi mnie gęganie gęsi, i wtedy moje myśli biegną do Ciebie, kochana...

Lotnisko bociana.

Bocian to doskonały lotnik, a i on niekiedy ląduje nie na właściwem lotnisku: np. w pokoiku panieńskim.

Książki Myśliwskie

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2.50 zł.

Prawo Łowieckie z komentarzami — J. Ejsmonda i St. Błonarowicza — 1,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego, zesz. 2 — 2,50 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł. zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

W sercu kniei — dra Stanisława Zaborowskiego — część I — 1,00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy" — 3,00 zł. 2) „Polująca Pani" — 3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.

Jak wygląda nosorożec?

Pewien jegomość przyszedł do komisarjatu policji zapytać, czy może skarżyć o obrazę, jeśli go nazwano nosorożcem.

— Naturalnie, że może pan. A kiedy pana tak nazwano?

— O już ze trzy lata temu.

— Co? Trzy lata? I teraz dopiero ma pan zamiar wnieść skargę?

— Tak. Ale bo ja dopiero wczoraj zobaczyłem po raz pierwszy nosorożca.

Tkliwy słoń.

Znany „król cyrku", Barnum, posiadał swego czasu bardzo uczonego słonia, który potrafił nawet grać na fortepianie. Właśnie w Pittsburgu sporządzono dla tego słonia specjalny, szczególnie mocny fortepian. Ledwie jednak słoń dotknął klawiszy i uderzył pierwsze nuty, spojrzał natychmiast na swe łapy, a z oczu trysnęły mu łzy.

— Co się stało Kalibanie? — spytał go nauczyciel.

W odpowiedzi na to słoń dotknął trąbą klawiszy, — biedak poznał w ich kości słoniowej — zęby ukochanej teściowej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.